

LUDZIE
I WYDARZENIA

- 5 Marek Ostrowski,
Łukasz Wójcik
**Amerikanin torturował,
Polaka skazali**
- 6 Janina Paradowska
Co się dzieje w PSL

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Adam Krzemiński,
Damien Thiriet
**Niegasnący spór
o Powstanie**
- 14 Jacek Żakowski
**Katastrofa
i zestrzelenie**
- 16 Malwina Dziedzic
**Feministka
w rządzie Tuska**

SPOŁECZEŃSTWO

- 18 Marcin Kołodziejczyk
Jazda na dragach
- 22 Elżbieta Turlej
Odzież patriotyczna
- 25 Juliusz Cwieliuch
**Skok (higieniczny)
w więzieniach**
- 28 Olaf Gątecki
**Nieduże korzyści
z Karty Dużej Rodziny**
- 30 Rozmowa z prof. UW
**Eleonorą Zielińską,
gdzie wprawie
zaczyna się człowiek**

RYNEK

- 32 Joanna Solska
**Za długi dewelopera
wciąż płacą klienci**
- 35 Adam Grzeszak
Jak wybrnąć z Możejek

ŚWIAT

- 40 Jędrzej Winięcki
**HOLANDIA
Co zmieni tragedia
malezyjskiego
samolotu**
- 43 Adam Krzemiński
**NIEMCY
Między Waszyngtonem
a Moskwą**
- 46 Marek Ostrowski,
Paweł Świeboda
**WIELKA BRYTANIA
Jak można wyjść z Unii**

HISTORIA

- 48 Jerzy Besala
Dzieje Rosji imperialnej



10, 68 Piętni 70-letni



16 Minister typu gender



32 Oszukani przez deweloperów



40 HOLANDIA Chłód i gniew

- 51 Andrzej Fedorowicz
Wyścig po uran

NAUKA

- 54 Karol Jałochowski
**Kolosalne błędy
wielkich uczonych**
- 58 Paweł Walewski
**Bezpieczne
badania prenatalne**

PÓŁPRZEWODNIK
POLITYKI

- 60 Ziemowit Szczerek
**Horror
z Ziemi Kłodzkiej**

KULTURA

- 68 Zdzisław Pietrasik
**Powstańcy
w kinie i literaturze**
- 72 Bartek Chaciński
**Czego się słucha
na Offie**
- 75 KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
- 76 Justyna Sobolewska
Czytają nas czytelnicy

LUDZIE I STYLE

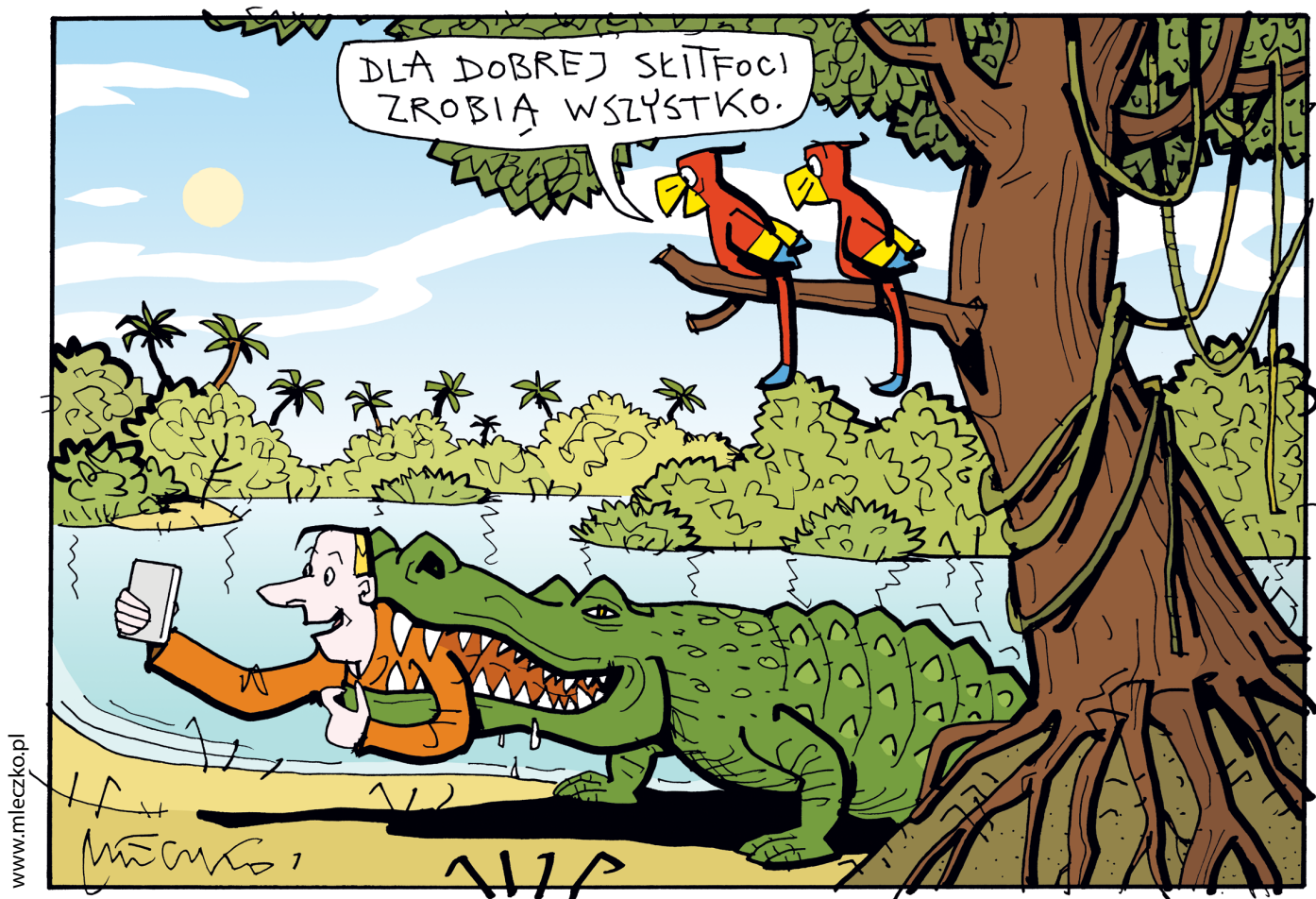
- 80 Marcin Piątek
**Wspólnota
Woodstock**
- 83 Sebastian Frąckiewicz
**Komiksy
o hipisach
i hipsterach**
- 86 Piotr Adamczewski
**ZA STOŁEM
Co jadać z dziećmi**

NA WŁASNE
OCZY

- 92 Joanna Strzałko,
fotografie Detlef Haag
**Z życia Szweda
na dalekiej Północy**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
• 5 Ludzie i wydarzenia
• 64 Afisz
• 87 Passent
• 88 Stomma
• 90 Fusy, plusy i minusy
• 98 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Nagłe stany sprzeczne z nauką Kościoła

felieton



Lektura prasy i portali internetowych uzmysławia, jak ciężkie jest życie osób wiernych nauczaniu polskich biskupów. Osoby takie nie mogą być np. gejami, lesbijkami, feministkami, coraz trudniej jest im się także odnaleźć w roli aptekarza, ginekologa i dyrektora szpitala. Osoby takie napotykają poważne utrudnienia w dostępie do kultury, gdyż nie mogą oglądać spektakli teatralnych, filmów i wystaw, które je obrażają. Nie wolno im również dopuścić do tego, żeby obejrżeli je inni. Skomplikowana jest sytuacja prokreacyjna takich osób, gdyż nie mogą mieć dzieci metodą in vitro, a z drugiej strony nie mogą ich nie mieć za pomocą środków antykoncepcyjnych. Jeżeli jakieś dziecko mają, nie mogą tego dziecka ani posyłać na lekcje edukacji seksualnej, ani nie posyłać na lekcje religii. Muszą za to cały czas pilnować, żeby dziecko nie wychodziło samo na ulicę,

bo może się tam zetknąć z ideologią gender lub – jak przestrzega abp Michalik – „łatwo zagubić się samo i jeszcze jakiegoś księdza pogryźć”.

Osobom wiernym nauczaniu polskich biskupów zaleca się korzystanie wyłącznie z placówek szpitalnych kierujących się wyznawanymi przez nich wartościami. Biskup Jan Wątroba z Rzeszowa radzi, żeby dany pacjent, zanim skorzysta z usługi jakiegoś szpitala, ustalił, czy „hołduje on zasadom moralnym odpowiadającym samemu pacjentowi”. Biskup nie przesądza, co pacjent ma zrobić, jeśli w pobliżu miejsca jego zamieszkania takiego szpitala nie ma, ale wydaje się, że dla pacjenta o wiele zdrowsze od położenia się w szpitalu niehołdującym jego zasadom moralnym będzie położenie się krzyżem w kościele i oczekiwanie w tej pozycji na nadejście pomocy. Do niedawna nie było wiadomo, czy osoby wierne nauczaniu polskich

biskupów mogą uprawiać jogę. Niestety, okazało się, że nie mogą, gdyż – jak ujawnił portal Fronda.pl – joga może powodować u nich „nagłe stany szczęścia, pokoju, miłości, poświęcenia, radości i kosmicznej jedności”, a do tego „spontaniczne uczucie głębokiego orgazmu”, które nie przystoi osobom wierzącym. Zdaniem Frondy joga powoduje także sprzeczne z nauczaniem polskich biskupów objawy audiowizualne, m.in. słyszenie „wewnętrznych głosów przemawiających sensownie”. **P**onieważ słyszenie sensownych głosów jest dla osób wiernych nauce polskich biskupów szczególnie szkodliwe, powinny one takim głosom dawać odpór i w ogóle ich nie słyszeć. Zamiast tego powinny koncentrować się na słyszeniu głosów biskupów i redaktora Terlikowskiego, gdyż nie wywołują one ani „spontanicznego, głębokiego orgazmu”, ani „nagłego stanu miłości i szczęścia”.

Sojusz milczenia

Wyrok w sprawie „polskich” więzień CIA to test dla relacji Warszawa–Waszyngton. Amerykanie właśnie go oblewają.

Sędziowie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC) dopisali trzeci odcinek do serialu o złych Polakach. Pierwszy, wyreżyserowany przez Jerzego Skolimowskiego, nosił tytuł „Essential Killing”. Oficerowie armii USA torturują taliba w Polsce, ten im ucieka. I kto gania go po lesie z bronią i owcarkami niemieckimi? Oczywiście Polacy. Drugi odcinek nakręciła Kathryn Bigelow. „Wróg numer jeden” to opowieść o namierzeniu i zabiciu Osamy bin Ladena. Amerykanie w filmie są wiadomo jacy, ale przy okazji widz dowiaduje się, że najsukuteczniejsze przesłuchania odbywają się w porcie gdańskim, zaraz obok miejsca narodzin Solidarności.

24 lipca Trybunał obwinił Polskę za to, że udostępniła Amerykanom miejsce (część Ośrodka Szkolenia Agencji Wywiadu w Starych Kiejkutach), gdzie mogli torturować więźniów. Uczynił to na podstawie pozwu Jemeńczyka al-Nasziriego i Palestyńczyka Abu Zubaidy, którzy twierdzą, że byli w Polsce torturowani. Trybunał nie wziął natomiast pod uwagę relacji drugiej strony, uznając, że Polacy nie kwapili się do współpracy. Tutaj właśnie sędziowie przebili Skolimowskiego i Bigelow – napisali scenariusz, w którym główni winowajcy (Amerykanie) praktycznie nie pojawiają się w kadrze.

Potępiamy tortury w więzieniach, jak cały cywilizowany świat. Wiemy dziś, że nasi amerykańscy sojusznicy stosowali je w Guantanamo wobec pochwyconych podejrzanych – prowadząc działania zbrojne na ogromną skalę w Afganistanie i Iraku. Wydaje się jednak, że sprawiedliwość dość pochopnie wskazała nasz kraj jako winnego stosowania tortur, w dodatku jedyne winnego. W nagłówkach gazet winna jest przecież nie Ameryka, nie fundamentaliści, nie zamachowcy, nie siły specjalne – lecz polski rząd. Możemy wskazać dziury w uzasadnieniu wyroku. Trybunał dość frywolnie podszedł do rozumienia tajności jako zasady pracy służb tajnych. Polska deklarowała udostępnienie akt śledztwa, ale pod warunkiem, że Europejski Trybunał albo wypracuje sobie takie same procedury zachowania tajemnic państwowych jak Międzynarodowy Sąd Karny w Hadze, albo stworzy inne gwarancje naszym służbom specjalnym. Tego sąd europejski nie chciał zrobić. Natomiast ze zrozumieniem podszedł do argumentów wnioskodawców: mogli oni w tajemnicy zatrzymać dane swoich świadków; ich tożsamością sąd się nie zainteresował.

Drugi poważny zarzut to powolność śledztwa, jakie wdrożyła polska prokuratura i brak współpracy polskich władz z Trybunałem. Wydaje się, że to zarzut niecałkiem fair. Śledztwo rzeczywiście toczy się powoli, ale Amerykanie, którzy wnioskodawców przetrzymują w Guantanamo, odmówili polskiej prokuraturze jakichkolwiek wyjaśnień i zasłonili się względami bezpieczeństwa państwa, które to względy uważają za oczywiste i bezdyskusyjne. Wobec 13 krajów sojuszniczych formułowano rozmaite analogiczne zarzuty; żaden

© WOJCIECH STEINREPORTER



z nich nie wszczął nawet śledztwa. Sędziowie nie zarzucili również żadnemu polskiemu obywatelowi, że torturował czy nieładzko traktował wnioskodawców. W uproszczeniu, rozumowanie sądu jest takie: ponieważ niegodne praktyki Amerykanów były powszechnie znane w świecie, to rząd polski nie powinien ani oddawać Amerykanom do dyspozycji żadnych baz czy pomieszczeń, ani w ogóle spuszczać ich z oka. Gdyby rozumowanie sądu konsekwentnie pociągnąć dalej, to każdy kraj sojuszniczy, który zobowiązał się do współpracy wywiadowczej z USA – a zobowiązanie takie wynika wprost z Traktatu Północnoatlantyckiego – musiałby powstrzymać się od tej współpracy, bo nad Amerykanami ciąży podejrzenie nielegalnego działania. A przecież z USA współpracuje wielu sojuszników i to dużo ściślej niż Polska.

Czy więc Polska popełniła grzech naiwności? Przede wszystkim to sformułowanie jest mylące. Naiwnym można być wobec obcego, potencjalnego wroga. A tu chodzi przecież o zaufanie – bez niego nie ma sojuszy. Jeśli druga strona go nadużywa, jest to z pewnością podstawa do weryfikacji stosunków, natomiast sojusz bez zaufania nie ma sensu.

Czy mamy zbyt duże zaufanie do Amerykanów? Obyśmy nie mieli okazji do fundamentalnego przetestowania sojuszu z USA. Natomiast minitesty rzeczywistości nie wypadają obiecująco. Porażką okazał się tzw. offset, czyli obiecana współpraca technologiczna, związana z zakupem F-16. W sferze projektów pozostaje budowa tarczy antyrakietowej. A teraz jeszcze te Kiejkuty.

Nie chodzi przecież o to, aby Amerykanie ujawnili wszystkie nagrania z tortur i przesłuchań w Polsce ani żeby przekazali listę pracujących tam ludzi. W obecnej sytuacji minimum sojuszniczej solidarności powinno jednak pchnąć Amerykanów do jasnej deklaracji: Tak, przetrzymywaliśmy w Kiejkutach podejrzanych o terroryzm. Tak, torturowaliśmy ich. Nie, polskie władze o tym nie wiedziały. Wizerunek Ameryki już na tym nie ucierpi, a my mamy wciąż wiele do stracenia.

W tej jednej sprawie Amerykanie zawiedli nas już trzykrotnie. Najpierw, nadużywając naszej gościnności. Potem, ujawniając całą sprawę, bo przecież pierwsze przecieki poszły z Waszyngtonu. I teraz, po raz trzeci, swoim milczeniem.

MAREK OSTROWSKI, ŁUKASZ WÓJCIK

Obrączki do wymiany

Klientów Systemu Dozoru Elektronicznego, czyli osoby odbywające karę więzienia w domu, czeka mała rewolucja. Od 1 sierpnia dostaną nowe obrączki i odbiorniki. Wymiana sprzętu związana jest ze zmianą firmy, która obsługuje system. Kilka tygodni temu państwo rozstrzygnęło nowy przetarg na tę usługę. Wygrało konsorcjum z firmą Impel na czele. I zgodnie z warunkami prze-

targu nowy operator wprowadza własne urządzenia. A konkretnie brytyjskiej firmy G4S. – Dla użytkowników zmiana powinna być właściwie niezauważalna. A jeśli już, to na plus, bo opaska wykonana jest z nieco miększego tworzywa niż w poprzednich – mówi gen. Paweł Nasiłowski, który zarządza SDE z ramienia państwa. Inna bransoleta nie oznacza, że łatwiej można będzie się jej pozbyć. – Urządzenie ma wysokie parametry zabezpieczenia. Nie mogę mówić o szczegółach, ale pod tym względem wyżej podnieśliśmy poprzeczkę – zapewnia gen. Nasiłowski. Tak jak w poprzednim systemie również odbiornik

zabezpieczony jest przed przemieszczaniem i próbą otworzenia pokrywy. Poprawił się także wygląd urządzeń, zwłaszcza odbiornika, nowy jest mniejszy i przypomina zwykły czarny telefon, tyle że bez klawiszy.

Zmiana urządzeń to właściwie kosmetyka SDE. Nad prawdziwymi zmianami pracuje Ministerstwo Sprawiedliwości, które rozważa, czy SDE nie powinno być karą pierwszego stopnia, czyli orzeczaną przez sądy powszechne. Teraz najpierw trzeba dostać wyrok. A dopiero potem można wnioskować o jego odbywanie w ramach SDE.

(JUL)

Rozrabiany PSL

Ludowcy wiedzą, że w tej kadencji są ostatnią ostoją rządu Tuska, ale nie ma zgody, ile da się z tego wycisnąć. I kto ma być głównym wyciskającym.



Piechociński uniknął próby obalenia. Pawlak miał zagrać o powrót na stanowisko prezesa PSL i nie zagrał. Rada Naczelna PSL ma uprawnienia do zmiany prezesa, ale nie zajęła się tym. A przecież zapowiadało się burzliwie. Dwa tygodnie temu, po szarży Waldemara Pawlaka, który z sejmowej trybuny zakwestionował de facto wiarygodność przywództwa Janusza Piechocińskiego, zrobiło się nerwowo. Koalicja stanęła na krawędzi rozpadu. Najpopularniejszym określeniem wśród ludowców stał się „matriks”. Jesteśmy w jakimś matriksie – mówił minister rolnictwa Marek Sawicki. – To jest istny matriks – powtarzał nawet doświadczony i spokojny zazwyczaj Stanisław Żelichowski. Rządzą służby, rzadzi prokuratura, a my nic nie wiemy – powtarzano często, bo przecież sporo się działo. Najpierw taśmy „Wprost” bez wyjaśnienia, o co chodzi, potem przeszukanie pokoju Jana Burego, szefa klubu parlamentarnego i to w dniu głosowania nad wotum dla szefa MSW. I jeszcze publikacje oskarżające, że PSL zbiera haracze od osób, które z rekomendacji tej partii dostają stanowiska. Podobne regulacje przyjmowały mniej lub bardziej formalnie prawie wszystkie partie, ale nagle sięgnięto po kwity PSL sprzed 10 lat. „Ktoś nas rozrabia” – to była dość powszechna opinia.

W PSL uczulenie na służby jest spore, a u Pawlaka ogromne. Nie bez powodu – solidnie przyłożyły się one w przeszłości do pozbawienia go stanowiska premiera. Dla tego Pawlak bardzo dbał, aby w kierownictwie UOP, a potem ABW mieć swojego człowieka. Piechociński o to nie zadbał. Ludowcy poczuli się trochę jak w obłożonej twierdzy, gdzie na dodatek ujawniły się – jak to w momencie kryzysu – różne urazy. Wiadomo, że Pawlak swojej porażki Piechocińskiemu nie darował, że go nie szanuje i daje temu publicznie wyraz. „Jak padł na kongresie na kolana, tak się z nich nie podniósł” – to najśłynniejsze zdanie wygłoszone w czasie kampanii wyborczej, czyli wtedy, gdy partie raczej stronią od wewnętrznych rozliczeń. Czy rzeczywiście uwierzył, że może zostać z nadania PiS premierem jakiegoś rządu technicznego, skoro wcześniej odrzucał wszystkie ich zaloty? Pawlak zdaje się mocno stąpać po ziemi, ale jednak owacja, jaką urządziło mu PiS po sejmowym wystąpieniu, była spora, tyle że z gratulacjami nie ruszył Jarosław Kaczyński, lecz posłanka Pawłowicz z posłem Kaczmarkiem. To jednak nie to samo. Wiadomo, że Marek Sawicki, który po innej aferze taśmowej wrócił na stanowisko ministra rolnictwa, ma o wiele większe ambicje, sięgające fotela prezesa partii i wicepremie-

ra. Wiadomo, że Stanisław Żelichowski, poseł z najdłuższym stażem, powinien być zostać wicemarszałkiem Sejmu, ale Pawlak osadził na tym stanowisku swojego stronnika, a Piechociński go nie zmienił, bo generalnie mało zmieniał i żadnego nowego zaciągu działaczy nie sprowadził. Linii takich konfliktów, niespełnionych ambicji można narysować więcej. Wiadomo też, że dla wielu ludowców Piechociński jest szefem słabym, pozbawionym autorytetu, zbyt ulegającym silniejszemu koalicjantowi. I wiadomo wreszcie, że Platforma słabnie, a stanowiące największe zagrożenie dla ludowców PiS rośnie w siłę i jeśli czymś kosztem się ostatecznie pożywi, to będzie to PSL. Przed wyborami samorządowymi, najważniejszymi dla ludowców, bo z gmin, powiatów i sejmików wywodzi się ich siła, stan zagrożenia rośnie. Koalicja z PO jest dla nich rzeczywiście optymalna, w każdej innej tracą albo lecą w przepaść. Tymczasem Podkarpacie już stracone i to (tak uważają) przez służby i prokuraturę, bo zarzuty b. marszałek Karapyta niby dostał, ludowcy go wyrzucili, ale nadal jest radnym i aktu oskarżenia nie ma, a panią prokurator, która powinna go pisać, przeniesiono do Warszawy. Teraz chmury gromadzą się nad Janem Burym, najbardziej wpływowym ludowcem na Podkarpaciu. To w oczach ludowców jeszcze jeden dowód na polityczne manipulacje prokuratury. Mnożą się więc teorie spiskowe. Ludowcy mogą też stracić Mazowsze, które było ich ostoją, niewesoło wygląda sytuacja w innych województwach.

PiS stara się zagonić PSL do narożnika przy każdej okazji. W wyborach europejskich ludowcy wygrali proces o kłamliwe powieści, że uzyskali mniej pieniędzy z UE na rolnictwo, ale PiS wyroku nie wykonuje, nie przeprasza i swoje powtarza, a nawet rzuca nowe insynuacje. Lasy Państwowe – to bogate państwo w państwie – po raz pierwszy musiały wpłacić część ogromnego zysku do budżetu i już z partii Kaczyńskiego popłynęło hasło, że ludowcy chcą lasy sprywatyzować, bo straszenie prywatyzacją to ulubiony argument PiS. Stąd forsowana przez PSL zmiana konstytucji, aby wpisać, że lasy są własnością państwa. PiS straszy, że w 2016 r., kiedy wygaszą okresy ochronne na handel ziemią, nastąpi gigantyczna wyprzedaż ziemi, tego narodowego dobra. Projekt ustawy mającej tę możliwość ograniczyć i preferować własnych nabywców, bo ziemi w nadmiarze nie ma, minister rolnictwa już dawno przygotował, ale jeszcze go nie uchwalono. Jest i trzeci postulat, też sprowokowany przez PiS: zmienić waloryzację emerytur na kwotową.

Rzecz znów wymaga zmian w konstytucji, a więc prosta nie jest, bo jeśli otworzy się debatę konstytucyjną, to kto wie, co się w niej pojawi. Tym bardziej że przy niskiej inflacji w roku wyborczym podwyżka emerytur o 5 czy 7 zł dla najuboższych wyborców tylko rozsierdzi. Wściekli ludzie będą nam te kwoty zwracać – przewiduje minister Władysław Kosiniak-Kamysz i zapewne ma rację. Trzeba więc szukać jakiegoś rozwiązania, bo to już nie tylko sprawa PSL, ale przede wszystkim PO i premiera.

Tak właśnie powstał pakiet propozycji PSL, który ma być ich wizytówką w koalicji. Dodatkowo w jego skład wchodzi projekt od dawna oczekiwaney ustawy o odnawialnych źródłach energii, który już jest w Sejmie. Pawlak miał wnieść i nie wniósł, ja to zrobiłem – podkreśla Piechociński. Podobnie jak załatwił w rządzie przedłużenie działania stref ekonomicznych, w których dziś szybko przybywa inwestorów; jak wspólnie z ministrem rolnictwa znalazł sporo nowych rynków zbytu w czasie, kiedy załamywały się rynki rosyjski i ukraiński. Są ustalenia, co zrobić z tak dotkliwym dla wielu województw janosikowym. Z problemem górnictwa nie radził sobie jednak ani Pawlak, ani Piechociński. Różnice między nimi są zasadnicze i one są też w sporej części przyczyną frustracji partyjnych. Pawlak wyznawał zasadę: PSL to ja – i był niewątpliwie mistrzem zakulisowych gier. Piechociński mówi: PSL to my – skraca dystans, chce i gotów jest rozmawiać ze wszystkimi. Pawlak, który z rzadka rzucał jakieś słowo, wydawał się liderem silnym, prowadzącym trudne gry z dominującym koalicjantem, trzymając go w niepewności, tak jak było przy okazji przesunięcia granicy wieku emerytalnego. Piechociński z wolą nieustannego negocjowania wydaje się prezesem słabszym. Na dodatek podkreśla, że jest przewodniczącym przejściowym. Chce, jak zapowiedział na kongresie, przygotować PSL do przekazania partii w ręce młodszych działaczy, wykształconych, znających języki, którzy mogą się swobodnie poruszać w wielu środowiskach w kraju i za granicą. Takich jak marszałkowie Krzysztof Hetman (wygrał mandat w wyborach do PE), Adam Jarubas, minister Władysław Kosiniak-Kamysz, wiceminister gospodarki Iwona Antoniszyn-Klik. I dziś prawda jest taka, że ludowcy mają najmniejszą lukę pokoleniową spośród wszystkich partii. Jest już pokolenie 30-, 40-latków, którzy mogą zacząć przejmować stery. To też musi rodzić napięcia w partii, która miała swoją ustaloną hierarchię.

Jednak ten „słaby” Piechociński, który długo nie chciał objąć stanowiska wicepremiera, przede wszystkim uporządkował partię. Zmniejszył jej zadłużenie, wynikające jeszcze z zakwestionowania przed laty sprawozdania wyborczego, z 35 do 10 mln zł. Wynajął mniejsze i o wiele tańsze pomieszczenia dla centrali, ograniczył liczbę etatów, przepro-

wadził kampanię europejską minimalnym kosztem. Poprzednia kosztowała prawie 10 mln zł, obecna 3 mln, z czego partia wydała tylko pół miliona, resztę gromadzili sami kandydaci. Wynik był taki sam, a efekt końcowy zdecydowanie lepszy, gdyż ludowcy mają w PE swojego przewodniczącego komisji rolnictwa Czesława Siekierskiego. A przecież wielu liczyło, że Piechociński potknie się już na kampanii europejskiej i przyjdzie czas na rozliczenie. Teraz jego przeciwnicy czekają na wybory samorządowe. Albo będzie 16 proc., jak cztery lata temu, albo po prze-sie, ale to najpewniej nie byłby już czas Pawlaka, bardziej Sawickiego.

Jako minister gospodarki Piechociński nie sprawuje się gorzej niż Pawlak, choć niewątpliwie ma większe wzięcie u inwestorów zagranicznych (potrafi prowadzić z nimi wielogodzinne rozmowy, często przynoszące zresztą efekty) niż u krajowych przedsiębiorców traktujących go jak gadułę, który niewiele potrafi. Pawlak był dobrze obudowany organizacjami pracodawców i przedsiębiorców, Piechociński o swoją pozycję ciągle walczy. Jednak liczyć się z nim już trzeba, bo staje się politykiem skutecznym.

Może jest łatwiejszym partnerem dla premiera, ale to wcale nie znaczy, że z punktu widzenia ludowców gorszym. Wydaje się, że spory szacunek zdobył właśnie tego burzliwego 14 lipca, przed głosowaniem nad wotum nieufności dla ministra Sienkiewicza. To spokój i opanowanie Piechocińskiego, który nie próbował kręcić, unikać zajęcia stanowiska, ale postawił sprawę jasno – chcecie wyborów, to proszę, będziemy je mieli – ustabilizowały sytuację. Być może wtedy po raz pierwszy ludowcy poculi, że mają lidera.

Gdyby więc Piechociński zażądał dla siebie wotum zaufania na ostatnim posiedzeniu Rady Naczelnej, toby je dostał. Wybory na prezesa wygrał przewagą 17 głosów, teraz, wedle przewidywań ludowców mających doświadczenie w zakulisowych układach, miałby za sobą trzy czwarte Rady Naczelnej. I właściwie największą zagadką pozostaje to, dlaczego sam sprowokował zamieszanie, zapowiadając, że o takie wotum dla zarządu partii wystąpi? Nikt tego nie oczekiwał, a on sam nie bardzo rzecz potrafi wytłumaczyć. Moment paniki, gdy generalnie zapanowało zamieszanie w związku z podsłuchami? Próba opanowania sytuacji w partii, kiedy zaczęły się ujawniać różne ambicje i interesy? Jeśli nawet takie były przesłanki, ostatecznie Piechociński wyszedł z tej próby zwycięsko. Pawlakowi pozostało już tylko robić dobrą minę do złej gry. Pokazał jednak, że do gry chce wrócić. Dalszy ciąg tej rozgrywki w PSL już po wakacjach, kiedy ludowcy mają się upomnieć o wyniki śledztwa w sprawie afery taśmowej. To może być kolejna odsłona konfliktu – także w rządzącej koalicji.



© RADEK PIETRUSZKA/PAP

Mała republika

Telewizja Republika ma najniższą oglądalność wśród wszystkich kanałów informacyjnych. Stacja nadaje od maja 2013 r., ale dopiero od początku lipca tego roku oglądalność kanału jest mierzona przez Nielsen Audience Measurement. Rozpowszechniana w internecie, przez satelitę (dostała miejsce na satelicie Polsatu od Zygmunta Solorza) i w kablówkach miała być prawicową odpowiedzią na TVN24. Dziś z wynikiem średniej dobowej oglądalności 4,8 tys. widzów (udział w grupie wszystkich widzów 0,09 proc.) ustępuje miejsca nowemu Polsat News+ (0,10 proc.), Superstacji (0,31), TVP Info (3,12) i TVN24 (3,25). W marcu Tomasz Sakiewicz, twórca TV Republika, pisał na łamach „Gazety Polskiej Codziennie”, że „ponad połowa Polaków w kraju ma do niej swobodny dostęp”. Biorąc pod uwagę, ilu ją ogląda, właściciele mają powody do zmartwienia. Pewnie dlatego często zachęcają na łamach do „zakupu za 60 zł rocznie karty, która daje możliwość oglądania przez rok TV Republika w internecie”. Zakup karty nazywają „wejściem do ekskluzywnego świata wolnego słowa” oraz traktują jako „cegiełkę na budowę wolnych mediów”.

Reżyserka Ewa Stankiewicz, szefowa ruchu Solidarni 2012, ogłaszając dwa lata temu pomysł powstania „telewizji Sakiewicza”, mówiła: „Skoro udało mu się z »Gazetą Polską Codziennie«, to czemu nie spróbować z telewizją?”. Kanał ruszył z próbnym programem w trzecią rocznicę katastrofy smoleńskiej. Wtedy stacja ogłosiła wielki sukces – oglądalność 200 tys. osób. Pół roku później firma Atmedia, badająca oglądalność tylko wśród abonentów kablówki UPC, poinformowała, że TV Republikę ogląda cztery razy więcej widzów niż TV Trwam. O. Tadeusz Rydzki wciąż nie chce badać popularności swojej telewizji, chociaż, jak mówi Olga Boczkowska z panelu Nielsen, było to kilkakrotnie rozważane. Z badań Atmedia (tylko wśród klientów UPC, 5 tys. gospodarstw) przygotowanych dla POLITYKI wynika, że Republika wciąż wyprzedza Trwam. – *Telewizję Trwam w ciągu doby nasi abonenci średnio oglądają ok. 11 sekund, a Telewizję Republikę około minuty* – mówi Wojciech Kowalczyk, dyrektor marketingu w Atmedia. Dodaje, że największą oglądalność TV Sakiewicza notuje w wieczornym paśmie, czego nie widać w telewizji o. Rydzkiego. Być może prawicowy elektorat szuka podsumowania wydarzeń dnia właśnie w TV Republika. Toruńską stację ogląda też więcej kobiet niż mężczyzn (63 do 54 proc.), a TV Republikę odwrotnie (37 do 46 proc.).

Według ostatnich danych Związku Kontroli Dystrybucji Prasy „Gazeta Polska Codziennie” sprzedaje średnio 19,7 tys. egzemplarzy. Medioznawca prof. Maciej Mrozowski z UW wyjaśnia słabą popularność telewizji tym, że TV Republika jest mało atrakcyjna jak na środowisko telewizyjne. – *Pod względem technicznym TV Republika jest kilka poziomów niżej od TVN24 czy nawet niszowej Superstacji. Republika komentuje świat, przede wszystkim tworząc forum ekspresji dla zamkniętej grupy ludzi, doszukujących się wszędzie wroga, który chce zniszczyć nasz kraj. Prawicowy elektorat widocznie preferuje słowo pisane. A ci, którzy zamiast czytać, wolą posłuchać ludzi o podobnych poglądach, wybierają nie telewizję, ale Radio Maryja.* (DAB.)

Jan Koza



Bardzo drogi parasol



Joanna Solska

Oszczędzający w Spółdzielczej Kasie Oszczędnościowo-Kredytowej Wspólnota nie mogą wyjąć z niej swoich pieniędzy, bo ta zgłosiła wniosek o upadłość. Kasa jest pusta. Z punktu widzenia klientów dramatu nie ma, oszczędności upadłej SKOK wypłacają bowiem placówki PKO BP z pieniędzy zgromadzonych przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Od lat, właśnie na wypadek nieszcześćia, składają się nań klienci banków. Klienci SKOK się na niego nie składali, gdyż kasy spółdzielcze nie były objęte nadzorem Komisji Nadzoru Bankowego (obecnie KNF), pilnowały same siebie. Gdyby były, do upadłości Wspólnoty może by nie doszło. SKOK-ów przed nadzorem skutecznie bronili związani z nimi politycy Prawa i Sprawiedliwości. O tym, co dzieje się z pieniędzmi klientów, wiedziała tylko Kasa Krajowa SKOK. Jej były szef Grzegorz Bierecki jest obecnie senatorem w klubie PiS. Chroni go immunitet. Nie musi odpowiadać na kłopotliwe pytania. A my za polityczny parasol PiS i brak nadzoru nad kasami płacimy. Na razie około 900 mln zł, wkrótce sumy urosną.

Wspólnota zbankrutowała pierwsza, ale nie będzie ostatnia. Kiedy wreszcie (w listopadzie ubiegłego roku) KNF zaczęła badać finanse SKOK, okazało się, że są one w fatalnym stanie. Zarządca komisyjny Wspólnoty Małgorzata Żymierska złożyła zawiadomienie do gdańskiej prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Jednak z 55 istniejących kas postępowaniem naprawczym trzeba było objąć aż 44. Nie wszystkie da się uzdrowić, niektóre będą musiały upaść. Ich klienci po zwrot depozytów zgłaszają się do Bankowego Funduszu Gwarancyjnego.

Co się stało z ich pieniędzmi? Wyparowały z powodu złego zarządzania czy może wręcz działalności przestępczej? KNF od dawna alarmuje, że zarządy podejmowały fatalne decyzje, skutkujące tym, iż poszczególne kasy stawały się po prostu wyduszkami. Więc teraz powinna się zdecydować. Jeśli zarzuty są uzasadnione, na alarchach skończyć się nie może. Potrzebny jest prokurator. Chodzi przecież o miliardy złotych. SKOK od dawna zarzucały ideę samopomocy, do której realizacji przed laty zostały powołane. Miały przyjmować nieduże depozyty i udzielać małych pożyczek. Ale pogrążyły je ogromne kredyty, których zaczęły udzielać bez właściwego zabezpieczenia. Komu i dlaczego tak ryzykownie pożyczają? Politycy PiS związani są ze SKOK więzami biznesowymi. Wielu pracowało dla nich, zadłużało się w SKOK, kasy finansowały kampanie wyborcze partii i zaprzyjaźnione media. Żeby zwiększyć krąg oddziaływania, SKOK wykupił nawet „Gazetę Bankową”, a spółka wywodząca się ze SKOK współwydaje prawnicowy tygodnik „wSieci”.

Politycy PiS bronili SKOK jak niepodległości. Głosząc, że to już ostatnie naprawdę polskie instytucje finansowe. To nośny argument, tyle że w ostatnich latach przestał być prawdziwy, bo spora część finansów kas została wytransferowana do Luksemburga. Skoro to my mamy płacić rachunek za SKOK, powinniśmy wiedzieć, co nam do niego dopisano.

Konflikt w Gazie jako instytucja



Łukasz Wójcik

To będzie wróżba, nie komentarz: wkrótce obie strony konfliktu w Gazie ogłoszą sukces. Izrael pochwali się likwidacją tuneli ze Strefy, zniszczeniem składów broni Hamasu oraz wyeliminowaniem kilku liderów tej organizacji, których uznaje za terrorystów. Hamas z kolei jeszcze raz ogłosi moralne zwycięstwo nad przeważającymi siłami szatana. I za dwa, trzy lata historia się powtórzy, bo to jest na rękę obu stronom. W ciągu ostatnich sześciu lat to już trzecia wojna w Gazie. Obie strony konfliktu do perfekcji doprowadziły więc nie tylko działania zbrojne w swoich specjalizacjach, ale imponują również spójnością przekazów, z którymi nie sposób się nie zgodzić, choć są ze sobą sprzeczne. I tak trudno odmówić Izraelowi prawa do obrony. W końcu obecny kryzys rozpoczął się od porwania trzech studentów jesziwy na Zachodnim Brzegu, a potem ostrzałem raketowym ze Strefy Gazy, na co Izrael tylko odpowiada. Z drugiej strony trudno nie sympatyzować z Palestyńczykami. Do poniedziałku zginęło ich w Gazie 1030, w porównaniu z 45 Izraelczykami. Tych koszmarnych liczb nie można zweryfikować, niemniej uderza dysproporcja. Izrael tłumaczy, że Hamas traktuje cywilów jak żywe tarcze i odpala rakietę ze szkół i szpitali. Czy to jednak usprawiedliwia izraelskie ataki? Co z tego, że armia izraelska ostrzega mieszkańców przed nadchodzącym bombardowaniem, skoro oni i tak nie mają dokąd uciec?

Podstawowy problem z powracającymi kryzysami w Gazie polega na tym, że żadnej ze stron nie zależy na długofalowym rozwiązaniu. W przypadku Hamasu jest to bardziej zrozumiałe, bo jak każda organizacja radykalna żywi się konfliktem. W przypadku Izraela to już mniej oczywiste, choć nie mniej destrukcyjne.

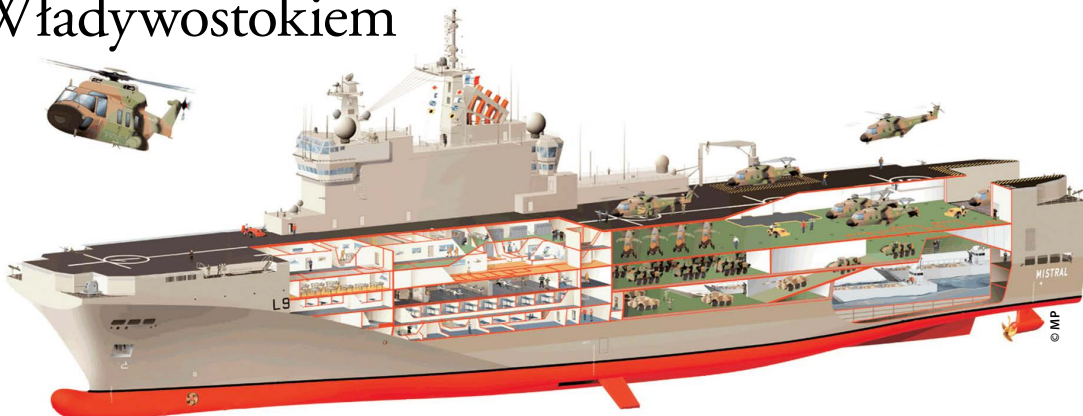
Obecny stan rzeczy w Gazie miał swój początek w 2005 r., gdy premier Ariel Szaron nakazał ewakuację Izraelczyków ze Strefy i „oddanie” jej Palestyńczykom. Z dzisiejszej perspektywy trudno uznać to za akt izraelskiej wielkoduszości. Izrael zachował kontrolę nad handlem zewnętrznym, przestrzenią powietrzną, wodami przybrzeżnymi, ruchem ludzi i granicami Strefy.

Taka zdalna okupacja, „na pilota”, jak mówią sami Palestyńczycy, szybko doprowadziła do radykalizacji nastrojów, zwycięstwa wyborczego Hamasu i do politycznego zerwania Strefy z Zachodnim Brzegiem, rządzonym przez skłonnych do rozmów polityków. Gdyby więc sądzić po skutkach, a nie deklarowanych motywach, ewakuacja z Gazy w dłuższej perspektywie miała dać Izraelowi wymówkę do zablokowania procesu pokojowego. Tak się właśnie stało. Izrael zinstytucjonalizował konflikt w Gazie. Stał się on poręcznym narzędziem gry politycznej, bo pozwala Izraelczykom bez końca odgrywać rolę ofiary islamskiego radykalizmu. Jednocześnie przykład Gazy pozwala izraelskiemu rządowi stawiać tak wygórowane warunki ewentualnego zakończenia okupacji Zachodniego Brzegu, że w przewidywalnej przyszłości jest ono po prostu niemożliwe. Następny konflikt w Gazie jest więc tylko kwestią czasu.



Mistral zwany Władystokiem

Francuski Mistral nabrał rangi symbolu w stosunkach Zachodu z Rosją, szczególnie napiętych po zestrzeleniu cywilnego lotu MH17 nad Ukrainą. Ten dwustumetrowy okręt desantowy, zwany z powodu wielorakich zastosowań „szwajcarskim szczytorem marynarki”, może być okrętem dowodzenia i szpitalem polowym, przewozić 450 żołnierzy, 70 wozów bojowych, w wewnętrznym hangarze zmieścić 16 śmigłowców, a pokład pozwala na jednoczesne lądowanie sześciu z nich. Kontrakt na budowę dwóch okrętów (i ewentualnie dwóch kolejnych) został podpisany między Paryżem a Moskwą w 2011 r. Już za trzy miesiące pierwszy Mistral, nazwany „Władystokiem”, będzie gotowy do odbioru; od czerwca 400 rosyjskich marynarzy szkoli się w stoczni w Saint-Nazaire. Niewątpliwie jest to jednostka bardzo potrzebna rosyjskiej flocie, i zamiast na Pacyfik, jak planowano, popłynie pewnie na Morze Czarne. Gdybyśmy mieli Mistrala, operację w Gruzji załatwiliby-



śmy w 40 minut – pochwalił się nierozważnie komandor Władimir Wysocki.

Przypierani do muru Francuzi, z prezydentem François Hollandem na czele, używają klasycznych argumentów: że sankcje wojskowe nakładane na Rosję nie powinny działać wstecz i obejmować wcześniejszych kontraktów, że stawką jest zatrudnienie tysiąca stoczników oraz honor francuskiego przemysłu zbrojeniowego, że kary za odstąpienie od umowy są rzędu 20 proc. wartości kontraktu (wartego ponad miliard

euro). A najsilniejsi krytycy, czyli Brytyjczycy, z premierem Davidem Cameronem na czele („to nie do pomyślenia” – powiedział o ewentualności, aby Mistral jednak trafił w rosyjskie ręce), sami nie zabrali się za oligarchów robiących interesy w City. Inni zaś nadal kupują rosyjski gaz, niech zaczną od siebie. Szykowany jest plan awaryjny, aby oba Mistrale trafiły ostatecznie do którejś z flot NATO. Ale im większe naciski, tym bardziej po francuskiej stronie krzepnie ponadpartyjny front oporu, co nie ułatwia poszukiwań rozwiązania.

Gdzie były nuncjusz będzie siedział?

Mgła informacyjna zachęca do spekulacji. Pod koniec czerwca Watykan ogłosił, że abp **Józef Wesołowski**, były nuncjusz w Republice Dominikany, został wydalony z kleru. W Watykanie uznano, że są poważne dowody na zarzucane Wesołowskiemu przestępstwa pedofilskie. Pedofila i gromadzenie pedofilskiej pornografii są zagrożone wysokimi karami więzienia. I tu zaczynają się zagadki. Wesołowski może się od decyzji odwołać w ciągu dwóch miesięcy. Nie wiadomo, czy się odwołał. Nie wiadomo także, jaki jest jego obecny status: czy jest nadal obywatelem watykańskim (utracił przecież status dyplomaty, dzięki któremu miał to obywatelstwo), czy i na jakiej podstawie prawnej przebywa na terenie Watykanu, jakie dalsze kroki prawne przewidywane są w jego sprawie?

W Watykanie pracuje, a czasem i mieszka, około tysiąca osób cywilnych. Podlegają one watykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości, jeśli popełnią na terenie Watykanu przestępstwa karane z cywilnego Kodeksu karnego. Przestępstwa takie się zdarzają. Przed laty była próba obrabowania z bronią w ręku biura kasowego. Grasują złodzieje kieszonek. Próbowano okraść Muzeum Watykańskie i wywieźć w walizce miliony euro do Szwajcarii. Niedawno przed sądem stanął kamerdyner papieża Benedykta XVI, który wykradł mu z szuflady prywatne poufne dokumenty. Papież darował mu odsiadki kary, z czym zresztą byłby kłopot, bo w zasadzie Watykan nie ma więzienia. Są więc dostępne procedury karno-sądowe pozwalające wymierzyć sprawiedliwość i Wesołowskiemu. Ale są też kłopoty. Niektórzy prawnicy uważają, że powinien być sądzony w Dominikanie, a nie w Watykanie. Po drugie, musiałyby odsiadywać wyrok, zapewne surowy, w więzieniu na terenie Włoch. Ale to akurat jest możliwe, bo Watykan ma w tej sprawie porozumienie z państwem włoskim.



© AFP

Występna księżniczka

Córka ostatniego króla Rumunii Michała I **Irina Walker** przyznała się właśnie przed sądem w Portland, że w 2012 i 2013 r. wspólnie z mężem organizowała walki kogutów. Ta okrutna rozrywka zabroniona jest przez amerykańskie prawo federalne. Prokuratura ustaliła, że państwo Walker hazardowy biznes prowadził na swoim ranczu w słabo zaludnionym wschodnim Oregonie. Arenę urządzili w stodole i kazali sobie płacić 20 dol. za wejściówki, zazwyczaj sprzedawali ich około stu. Prowadzili także wyszynk.

Na początku działalności gotowała sama gospodyni, jednak jej dania nie smakowały uczestnikom i bardziej popularne okazały się tacos i burrito przygotowywane przez wynajętą kucharkę. Natomiast pan Walker, farmer i były szeryf, odpowiedzialny był za wynajem przenośnych toalet i podczas zawodów stał na czatach, wypatrując, czy nie nadjeżdża policja. Walkerowie brali także procent od wynoszącego tysiąc dolarów wpisowego. Przysięgając się, poszli na ugodę z prokuraturą – prawdopodobnie sąd skaze ich na kilkuletni wyrok w zawieszeniu i nakaze sprzedać część rancza, by pokryć 200 tys. dol. grzywny. Księżniczka jest piątą w kolejności pretendentką do tronu rumuńskiego i 97 osobą w linii sukcesji brytyjskiej.



© EAST NEWS (2)

NIEGASNĄCY SPÓR O POWSTANIE



Odprawa oddziału powstańczego, sierpień 1944 r.

Mimo że Powstanie Warszawskie było pod koniec II wojny światowej jednym z momentów zwrotnych polityki europejskiej, nie zapadło w powszechną pamięć historyczną. Dla Polaków jednak jest doświadczeniem kluczowym ostatnich 250 lat.

ADAM KRZEMIŃSKI, DAMIEN THIRIET

O dysproporcjach pamięci świadczy wyszukiwarka Google. Na hasło „Warschauer Aufstand” podaje ok. 120 tys. stron z Niemiec i w języku niemieckim. To znaczy, że w Niemczech temat jest rozpoznawalny i budzi obecnie pewne zainteresowanie. Jednak jest ono nieporównywalne z zainteresowaniem w Polsce, gdzie Google.pl na hasło „Powstanie Warszawskie” wyrzuca prawie 3240 tys. stron. Dla porównania: rosyjski Google dał ok. 62 tys. wskazań na hasło „Warszawskoje Wosstanie”, a brytyjski na „Warsaw Uprising 1944” – ok. 220 tys.

Polskie powstania z XVIII, XIX i XX w. przeciwko rosyjskiej, pruskiej i austriackiej dominacji są jednym z fundamentów polskiej świadomości historycznej. Zarazem niemal wszystkie wywołały niekończące się debaty na temat sensu i bezsensu militarnych

zrywów, moralnych zysków i materialnych strat. Apologeci powstań twierdzili, że niezależnie od ponoszonych klęsk przekazywały one następnym pokoleniom ducha wolności i patriotyzmu, że bez powstań Polacy straciliby swą tożsamość i rozplynie się w państwach zaborczych. Krytycy natomiast zwracali uwagę, że wszystkie powstania – z wyjątkiem wielkopolskiego z grudnia 1918 r. oraz wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–20 – kończyły się klęską i śmiercią tysięcy ofiar.

Powstanie kościuszkowskie z 1794 r. zamiast uratować okrojoną, ale formalnie wciąż jeszcze istniejącą Rzeczpospolitą, doprowadziło do jej całkowitej likwidacji. Powstanie listopadowe z lat 1830–31 doprowadziło do zniesienia ustalonej na kongresie wiedeńskim (1815 r.) autonomii Królestwa Polskiego w ramach Imperium Rosyjskiego. To samo dotyczy powstań w zaborach austriackim i pruskim w latach 1846–48. Powstanie styczniowe w zaborze rosyjskim (1863 r.) rozwiało nadzieje na liberalizację polityki rosyjskiej i odzyskanie autonomii. Spowodowało drastyczną rusyfikację terenów polskich i doprowadziło do zerwania wielowiekowej solidarności Polaków i Litwinów.

W polskim sporze o Powstanie Warszawskie ścierają się dwa przeciwne porządki myślenia, ujawniające się też w debatach toczonych wokół poprzednich zrywów wojskowych. Tradycja romantyczna ogłasza: *gloria victis*, chwała zwyciężonym. Hojna danina krwi najszlachetniejszych obywateli „jak kamienie przez Boga rzuconych na szaniec” – jak z patosem głosił w XIX w. Juliusz Słowacki – to cena, którą trzeba było zapłacić za przetrwanie idei narodowej. Przykład bohaterów miał pobudzać do pójścia – jeśli to konieczne – w ich ślady i przygotować kolejny, tym razem zwycięski, zryw.

Z kolei zwolennicy polityki realnej, tzw. pozytywści i ugodowcy, sztygają z – jak to ujmują – bohaterszczyzny, uważając ją za retorykę moralnej arogancji i braku politycznej rozwagi. Według nich bilans powstań jest ujemny: nie tylko ze względu na nieodwracalne straty ludzkie i materialne wynikające z walk i późniejszych represji, ale również z powodu zapaści cywilizacyjnych po każdej z klęsk, spowodowanych wieloletnią depresją podobitego społeczeństwa i zniszczeniem polskich instytucji.

Cudzoziemcy mają kłopot

Polskie spory wokół Powstania Warszawskiego – toczące się już przed jego wybuchem, a później w trakcie walk i po jego upadku – ciągnęły się w kraju i na emigracji przez całe dziesięciolecie i należą do tych nigdy nierozstrzygniętych kwestii, które przekazywane z pokolenia na pokolenie budzą w Polakach emocje, ale dla obcokrajowców są trudne do zrozumienia. Czy to powstanie miało sens, czy było historycznym błędem? Kto jest winien klęskę? Cyniczny ludobójca Stalin? To oczywiste! Wiarołomni alianci zachodni? Oni również. A może – jak głosił nie tylko komuniści – przede wszystkim polski rząd emigracyjny w Londynie, niepotrafiący ułożyć się ze wschodnim sąsiadem, który w 1944 r. miał w ręku wszystkie karty? A może także bezpośrednio władze powstańcze, które nie powinny przeć do rozpoczęcia walki, gdy brakowało podstawowego uzbrojenia?

Cudzoziemcowi początkowo trudno pojąć, dlaczego w tych polskich debatach na temat powstania opinie wyważone, chłodne, szybko toną w morzu rozdygotanych argumentów. Jednak właśnie te skrajne emocje polskich rozmów o bohaterstwie pokolenia „zdradzonego” przez zachodnich aliantów czy też o nieodpowiedzialności polityków, którzy dla politycznego gestu poświęcili tysiące młodych ludzi, sprawiają, że nawet cudzoziemiec zaczyna pojmować, dlaczego w polskiej świadomości rana Powstania Warszawskiego wciąż pozostaje niezabliźniona. Ta trauma dotyka bowiem sedna polskiej myśli i dążeń politycznych dwóch minionych stuleci – najpierw prób odzyskania, a potem utrzymania niepodległości Polski w konfrontacji z dwoma wrogimi sąsiadami: Niemcami i Rosją, przy daleko posuniętej obojętności Francji, Anglii czy USA. I właśnie dlatego nie jest to tylko wewnętrzna polska sprawa i uboczny

epizod II wojny światowej, lecz jeden z jej kluczowych momentów w Europie. To właśnie ten europejski aspekt polskiego powstania z 1944 r. skłonił Brytyjczyka Normana Daviesa i Rosjanina Nikołaja Iwanowa do przedstawienia warszawskiego dramatu nie jako samobójczego gestu polskich romantyków, lecz jako oskarżenia angloamerykańskiej i stalinowskiej polityki wobec Polski w czasie II wojny światowej.

Warszawa była ostatnim niemieckim zwycięstwem w II wojnie światowej, ale na tyle wstydlivym, że została wyparta z niemieckiej pamięci zarówno zbiorowej, jak i indywidualnej. Zapewne również ujarzmiony i nietraktowany jako pełnoprawny przeciwnik. Walki o Warszawę w 1944 r. były jedną z największych bitew o miasto w II wojnie światowej, ale nie wpłynęły na jej przebieg jak bitwa pod Stalingradem, toczona na przełomie 1942 i 1943 r., która – stylizowana przez propagandę nazistowską na „niemieckie Termopile” – doprowadziła do zniszczenia 6 Armii i była punktem zwrotnym całej wojny, czy bitwa o Berlin w 1945 r., która stanowiła jej akord końcowy. Warszawie, podobnie zresztą jak późniejszym walkom o Budapeszt – równie zaciętym, choć mniej brutalnym – przypadło odległe miejsce w niemieckiej pamięci.

Konfrontacje i negocjacje

W Polsce w czasach stalinizmu powstanie było tabu, stale funkcjonowało jednak w świadomości politycznej jako narodowa katastrofa. Do 1948 r. mogło się wydawać, że coś się zmienia. W kraju trwała wojna domowa. Władze spychały represjami część młodzieży akowskiej ponownie do podziemia. Niektórzy liczyli na wybuch wojny między niedawnymi aliantami i usunięcie komunistów. Gdy jednak zimna wojna pokazała, że przynajmniej w Europie Zachód i Moskwa respektują żelazną kurtynę, pamięć o klęsce Powstania Warszawskiego sprawiła, że przez 40 lat rządów komunistycznych w Polsce środowiska niepodległościowe nigdy nie brały pod uwagę możliwości zbrojnego powstania. Nagą przemoc stosowała władza: w czerwcu 1956 r. wojsko strzelało do strajkujących robotników w Poznaniu, w grudniu 1970 r. do demonstrantów na Wybrzeżu. W grudniu 1981 r. władze wprowadziły przeciwko Solidarności stan wojenny, który pochłonął wiele ofiar. Ale po 1948 r. opór przeciwko władzy komunistycznej nie przerodził się w działania powstańcze albo terroryzm.

Można zaryzykować tezę, że straszliwa cena, jaką Warszawa zapłaciła w 1944 r., była w październiku 1956 r. hamulcem powstrzymującym zarówno Moskwę, jak i Warszawę przed zbrojną konfrontacją, jaka nastąpiła na Węgrzech. W czasie dramatycznej wizyty w Warszawie Nikita Chruszczow zaakceptował „polską drogę do socjalizmu” z autonomiczną pozycją Kościoła, zwróceniem ziemi chłopom i dość szerokim otwarciem na Zachód, a Władysław Gomułka obiecał, że Polska pozostanie w Pakcie Warszawskim, a komuniści nie oddadzą władzy. Kosztem akceptacji ograniczonej suwerenności Polsce udało się w 1956 r. rozszerzyć margines swobody, który po uznaniu przez Bonn w 1970 r. granicy na Odrze i Nysie wzmocnił środowiska opozycyjne, doprowadzając po wyborze w 1978 r. Karola Wojtyły na papieża do wybuchu Solidarności – potężnego ruchu, odżegnującego się od przemocy.

Pozostała romantyczna frazeologia środowisk opozycyjnych i niepodległościowych. Nadal pielęgnowano kult powstań narodowych, ale nigdy już nie brano pod uwagę powrotu do strategii powstańczej. Zarówno w 1956 r., jak i w czasach Solidarności wybierano metody biernego oporu, nacisku na władze i negocjacji. Prowokacje ze strony władz i morderstwa polityczne popełniane przez tajne służby nie wywoływały terrorystycznych reakcji, jak to miało miejsce w wielu krajach zachodnich. Powstanie Warszawskie było dla opozycji antykomunistycznej w Polsce symbolem prawdziwego patriotyzmu i postawy moralnej, ale nie pragmatyki działania. Tadeusz Konwicki – w 1944 r. w wileńskiej AK, w czasie stalinizmu komunista, a w stanie wojennym krytyczny opozycjonista – notował, że w młodzieży solidarno- ►